

Jerzy SULIMA-KAMIŃSKI

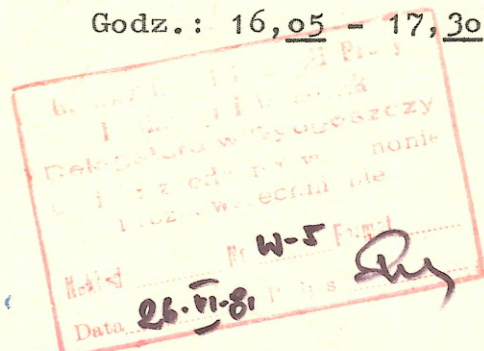
Red. Literacka

385  
w  
Data: 28.06.1981 r.

Godz.: 16,05 - 17,30

IV.

"Szkarlatyna"



Dziurę w moście szybko załatali niemieccy saperzy. Po grubych dylach przewalają się teraz czołgi, auta pancerne, samochody zmoty- ryzowanej piechoty i motocykle z cekaemami na przyczepach. Głucho bębnią buty jenieckich kolumn. Plaskowo kłapią podeszwy cywilów pędzo- nych do artyleryjskich koszar.

Ojciec nie wrócił od Bocholza.

- No ja ~~wzdycha~~ pan Batko - Już po wszystkim, trzeba zacząć żyć.

- I popędza panię Emmę. Dosyć tego pindrzenia się, dosyć pudru, szminki, tych wszystkich miksturów. Czas otworzyć kiosk; nowi klienci czekają. Toczy przez piwnicę butlę po kwasie węglowym. Ale jest cięż- ka, przywołuje Grzybowskiego. - Chodźno pan, pomożesz mi. Pani Emma dźwiga kosze z papierosami, dropsami, gilzami Morwitan. Spieszy za mężem, butlę i Grzybowskim. Ach! Zapomniała wykręcić z lampy gruszkę sześćdziesiątkę. Więc wykręca, zawija żarówkę w ręcznik i kładzie między dropsy. Teraz wszystko już gotowe do otwarcia interesu.

Matka zawija pościel w prześcieradle, splata cztery rogi w węzeł i zarzuca toból na plecy. Nie mieści się w drzwiach boks rotmistrzostwa Oborskich. Napieram na matkę od tyłu i już jesteśmy w korytarzu naszej salonki. Idę za matką, szorując dnem walizy o cement. Paskudnie ciężkie te sweterki, jaczki, majtki i koszule. Koło mieszkania Grrzybowskich zatrzymuje mnie Hilary. - Chcesz konfekta? Nie mogę patrzeć na jego gębę umazaną czekoladą. - Konfekty na pewno nadziane są prochem - myślę i jak mogę najszybciej, oddalam się od Hilarego, zanim wybuchnie.

Na podwórzu, pod śmietnikiem leży zastrzelony pies Oborskich. W myślach odmawiam za jego intencję wieczny odpoczynek. Obok poległego psa siedzi na cegle Alfonks Kujawa, kiwa się na boki i lamentuje: \* Lejoś mój... gdzie mój Lejoś? Matka znowu zakleszcza się w drzwiach. Ale ja wiem już jak sobie radzić; napieram plecami na toból i matka wraz ze mną, oboje wpadamy na klatkę schodową naszego domu. Pod stopami chrzęści szkło okienne; to wybita szyba ze świetlika nad bramą. Poza tym porządek. Binoleum pachnie lnianym olejem. Śliskie podesty schodów są jak wylizane z kurzu i błota. To robota Alfonksowej Kujawowej. Pewnie niedługo zjawi się tutaj, przyczłapie od brata z Jachcie by rozpaczać nad Lej#osiem. Drzwi na piętrze od mieszkania ~~od mieszkania~~ Nitzów uchylone.

Zwabieni sapaniem matki, pojawiają się na klatce schodowej. - Ja, Frau Kamynski - mówi Nitz - so ist das. Bierze moją walizę i sięga po toból matki, ale ona wzbrania się. - Jest stary, nie powinien dźwigać ciężkich rzeczy. Mimo to Nitz zabiera toból i wlecze go po stopniach. Z dołu przywołuje mnie stara Nitzowa ze słoikiem konfitur. Mam to zjeść, będę duży i zdrowy. - Werbluję palcami po napiętym pergaminie słoika. Bębnekowy dźwięk salicylowego papieru irytuje matkę. - Czy nie dosyć mam wojska i tego wszystkiego? - Kulę uszy po sobie i pociągam za kokardę z czerwonej włóczki. Wciubiam nos pod pergamin: "żylyj!" ze świętojanek! Pycha. Na każdym półpiętrze matka i ~~xxx~~ stary Nitz przystają na odsapkę. Słyszę dwie zadyszki, dwa unęczone głosy, rozmawiające po niemiecku. Domyślam się, że matka mówi o ojcu. Raz czy dwa pada jej z ust słowo "Bucholz". Potem stary Nitz w kółko, jak nakręcony powtarza: Kopf hoch, gnädige Frau! <sup>tych samymi</sup> tymi/słowami ojciec pociesza matkę, gdy coś idzie nie po jej myśli.

Gdy ciotkę Hejtkę zsyłali do Pipidówki. Gdy wuja Paweł kręcił z Peretiatko Hersylią i miało się na ślub. Gdy matka cierpiała na fistułę. Ale matka nie unosi głowy do góry, rzewnie spogląda na swój brzuch. Pewnie się u niej zaraz zacznie.

Nasze mieszkanie jest zimne i obce i uleciał z niego duch i ciepło..Nie ma ojca, wszystko jest mniejsze, niższe i ciasniejsze. Jakby to była nieudana kopia naszego prawdziwego mieszkania. W jadalce nad kanapą zawisł krzywo portret ślubny rodziców. To zły znak, gdy obrazy same z siebie zmieniają położenie. Jeszcze gorszy, gdy czynią to ślubne portrety. Matka wchodzi na kanapę i sprowadza portret do pionu. Potem bierze krzesło i nakręca regulator. Zegar poruszył mosiężnym ogonem, coś w nim chrupnęło, zadzwonił trzy razy, nie tyle, ile trzeba. Ale matka nie ma już sił przesunąć wskazówki. Byle zegar tykał, byle dom żył. Mówi że chyba z krzesła nie zejdzie, taka ciężka, a nogi miękkie. Podpieram plecami oparcie krzesła i jakoś takóś, matka znowu śrepcze po dywanie.

W kuchni wpierw obłaskawia zimny piec, przesuwa fajerki na placie, grzebie pogrzeb<sub>a</sub>czem w palenisku. I czy jest woda w kranie? Jest. Gaz też jest, pewnie jeszcze polski; niedługo przekonamy się, jak pali się niemiecki. Prądu jeszcze nie ma, to nic, mamy świeczki. Chleba też nie ma, ale są kartofle, będą plincki na oleju. Proszę matkę żeby usmażyła więcej, dla ojca jak wróci. Biorę tornister i wpycham go pod łóżko. Tylko latarkę wyjmuję, bo w wojnę latarka musi być pod ~~w~~ęką.

W wojnę, twierdzi matka, wszystko musi być pod ręką. Chleb, ubranie, lekarstwa i pieniądze. Ale ja myślę, że latarki są najważniejsze.

Wychodzę na balkon zobaczyć co też robią moje petunie. Trochę przywiędły, ale zaraz je napoję. Panorama miasta z balkonu po staremu. Nie zniknął żaden gmach, żaden budynek. Stoją jak stały wszystkie fabryczne kominy. Nie ruszył z miejsca ten najbliższy i największy, komin Bucholza. Sterczy w niebo lufa komina Lukullusa z piorunochronem jak bagnetem, stoją prosto maszty kominów, firmy Tornedo, fabryki pilników "Grakona" i komin kotłowni Dyrekcji kolejowej. Stoją, ale nie dymią. Stoją jak stały wieżycy kościołów. Zboru na Placu Wolności i na Placu Kościeleckich. Z zielonej piany drzew wyżynają się jasne i smukłe wieżycy kościoła jezuickiego i śmiesznie nieproporcjonalna wieżyczka fary. Wydymają się szare cyce kopuły synagogi i pękały korpus wieży ciśnień na Wzgórzu Dąbrowskiego. Wszystko, wszystko po staremu. Słońce odbija się w szybach domów jak zawsze w pogodne popołudnia o tej porze roku. Tyle że szyby na krzyż zalepione. Tyle że w wielu oknach szyby wytłuczone. Miasto szumi jak koncha przyłożona do ucha. Coś się w nim gotuje, coś przelewa z kańca na kraniec. Jakieś pełznące

żelazne węże wiją się ulicami. Jacyś tysięczni kowale otaczają miasto stalową obręczą. Niekiedy, z bardzo daleka, słychać ping-pong pojedynczych strzałów. Na lotnisku grzeją się silniki samolotów. Nie dzwonią dzwony na wieczorny Anioł Pański, i znikąd nie słychać radiowej muzyki.

Wojna wystudziła naszą kamienicę. Jest cicha, jak wymarła. Nasi najbliżsi sąsiedzi, Stenclowie, nie zdążyli powrócić z <sup>wy</sup>wczasów na Helu. Melechowa z Melechówną na ucieczce. Tak samo pani Radzikowska z Dzidkiem z pierwszego piętra. Stara Windorfka na łożu boleści, a Batkowie w kiosku. Henningów z parteru nie ma już od miesiąca. W całym domu tylko <sup>my</sup> i Nitzowie. Alfonks Kujawa tak jakby się nie liczył. Choć mieszka w naszej kamienicy, wszyscy uważają go jeszcze za lokatora domu przy Naruszewicza. Tam, w suterenie Grzybowskich zapuścił korzenie i tam przypisał się w naszej pamięci. Dom jest jak wielopiętrowa omentarna kaplica. Chciałbym wrócić do naszego pullmana w nowym domu Melechów. Ale schron jest już niepotrzebny. Most wyleciał w powietrze, nie będzie nalotów.

W sypialni matka przewraca materace w łóżku ojca. - Może ty wiesz? - pyta - Może ty wiesz gdzie tatuś schował swój rewolwer?

Ty zawsze wszystko wiesz, nawet to, czego nie powinienes.

- Nie, nie wiem. Ja tylko wyjmowałem z kabury dziewięciostrzałowego walthera, gdy wisiał na pasku w-ab w antrejce. I nikomu o tym nie mówiłem, jasne. - Matka nie czeka na odpowiedź, tylko robi swoje. Fruwają po sypialce poduszki, spodek, prześcieradło, jaśki i klin. Nie ma rewolweru. Matka z furją rzuca się na nocny stolik ojca. Wszystko co w szufladzie, sypie się na podłogę. Skarpety, spinki do mankietów, chusteczki, Kogutki od bólu głowy, maść na odciski, <sup>opener</sup> ~~opagek~~ świecy, kawałek kredy od Trzech Króli. Kastet - pamiątka po służbie w policji wodnej, tajnej i porządkowej. Matka zatyka uczy; kastet krzyczy. Matka przymyka powieki, kastet skacze do oczu

- Jezus! - dygoce z przerażenia - Jak oni to zobaczą to nas zastrzelą.

Bierze matka we dwa palce kastet. Jak oślizły jakiś ochłap, jak śmierdzącą padlinę. Tak trzyma to żelaztvo w powietrzu i prosi Boga by się rozwiało, rozkruszyło jak przedmiot z suchej gliny. Ale kastet nie rozpada się, więc wkłada go do kieszeni fartucha. I wtedy właśnie przypomina mi się coś straszego.

- Mamo? A karabin?!

- Jaki karabin?!

- Wuja Pawła, no!

Matka pada na kolana, blada, jak omdlała. - Matko Boska... -  
słyszę tylko - Matko Boska... - Biegnę do pokoju ojca i wyciągam  
zza gościnnego łóżka Myśliwski sztucer. Stawiam go przed matką.  
- Ten...

Jak ślepa, po omacku błądzi matka palcami po lufie, po kolbie  
strzelby. Pod szybami jej migdałowych paznokci sinieje krew. Pew-  
nie matka padnie mi tu - myślę - zostań sam, co ja zrobię? - Ale  
na przekór myślom, matka czepia się moich ramion i powstaje z pro-  
chu. Słania się w niezdarnym rozkroku, w wiotkim poc<sup>h</sup>hyleniu pła-  
czącej wierzby. Przemija parę oddechów, nim ukaże się silną i  
wyprostowaną. - Daj - wyciąga rękę po sztucer - I nie ruszaj <sup>nie</sup> stąd!  
- Wkłada broń pod spódnicę; lufa przebija się przez biodrowy gurt  
i utyka pod swetrem w ciepłym wgłębieniu pachy. Matka przytrzymuje  
łokciem trefną flintę i rusza ku drzwiom. Parokrotnie, słyszę,  
kolba tłucze o stopnie schodów. Potem z piwnicy dochodzi tępy od-  
głos siekiery. Matka wraca na górę z porąbaną kolbą w fartuchu.  
Nie pytam o lufę i zamek, w ogóle nie śmiem pytać o nic. ~~Jest cała~~  
~~spocona i drżąca.~~ Prosto z fartucha wrzuca drewno do paleniska.  
- Nic nie widziałem - <sup>nie</sup> mówi nic nie pamiętam. Żadnej broni nigdy  
u nas nie było. Tak mam mówić jakby mnie o to pytali. Tylko tak,





jeśli nam życie miłe.

Po południu zjawia się pan Batko z wieścią, że jest takie rozporządzenie: kto ma broń, wszystko jedno jaką, wojskową, myśliwską czy sportową, nawet szable, noże i bagnety, ten ma to wszystko oddać w ratuszu za pokwitowaniem. Kto nie odda, z tym będzie źle. Przyszedł do nas bo myśli, że ojciec musi coś mieć. ~~Do koleżeńsku zawiadamia.~~

- A matka, że to niemożliwe żeby ojciec coś miał. Co było służbowe, to oddał, kiedy go wysyłali na emeryturę. Prywatnie nic nie posiada, na co mu takie rzeczy w domu? I że dziękuje za wiadomość. - Niech będzie - powiada pan Batko - ja tylko tak, dla porządku. Bo mogą być kłopoty. Łatwo sprawdzić kto ma pozwolenie na broń.

Matka chodzi po mieszkaniu, przetrząsa szafy i szuflady. Bębenkowiec ojca nie daje jej spokoju. Po co ludziom takie świństwa w domu? Broń nigdy nikogo nie broni. Broń zawsze naraża ludzi na niebezpieczeństwo. I gdzie ten ojciec? Co on u tego Bucholza tak długo robi? Przecież już nie ma tam czego pilnować!

Matka jest zła na ojca. Matka jest zawsze zła na ojca. Za wszystko jest na niego zła. Za to, że jeszcze nie wrócił. Za to, że jest wojna i że niedługo się u niej zacznie. Za to, że Jadźka pojechała w pierwszym dniu wojny ~~do~~ swoich. Teraz kto jej pomoże?

Teraz, kiedy ledwie stoi na nogach?

Zaglądam do "służbowego". Na odkrytej pościeli ślad po głowie i pośladkach Jadźki. Po wymajtanym prześcieradle, tak jak z niego Jadźka wylazła, łążą dwie tłuste muchy. Zapach jej kwaśnego potu bije w nozdrza i zda się, cienkim nalotem osiada na lustrze umywalki. Ale to chyba brud, nie nalot potu. Zniknął spod łóżka drewniany kuferek zamykany na kłódkę. Zniknął też święty obrazek wetknięty za ramę lustra. Obok miski z mydlaną wodą, zastygły w lichtarzu stearynowarkocze. Na półce pod lustrem pudełko z nadpalonymi ~~papierosami~~ zapałkami. Jadźka czerniła sobie nimi brwi i rzęsy. Nic nie pozostało po Jadźce, nic. Tylko to wgłębienie w sienniku i te spalone zapałki. Jadźka <sup>zno</sup> zdezertowała nocą. Nic swojego nie zostawiła i nic cudzego nie zabrała. Chciała do swoich. Matka nawet nie zdążyła się z nią rozliczyć. - To nic - powiedział ojciec. - Jest <sup>wam</sup> ~~wam~~ winna za tę kaczkę, co ją zjadła nim podała na stół. - I matka powiedziała że tak, rzeczywiście, całkiem o kaczkę zapomniała i zaraz jej na sumieniu lżej. Rachunek mniej więcej się wyrównał, nic nas już nie musi obchodzić co się z nią dzieje. Czy dojechała czy nie. Nikogo o zdanie nie pytała, ani pani ani pana, to ~~cała~~ odpowiedzialność na jej własnej głowie. A cioci Hejtce powie się, jaki nam materiał naraiła

w tej Pipidówce. Ani do widzenia za tyle dobrego? Tyle że nie kradła. Za to jadła jak drwał.

Ale najbardziej jest matka zła na ojca za ten bębenkowiec. Wie przecież, że gdzieś musi być, zawsze ojciec trzymał go na noc pod poduszką. Że niby dbał o dobro rodziny; jakby kto, jaki szwederowiak czy inny lu<sup>h</sup> do drzwi się dobierał, jakby ręce po nasze wyciągał, to by palnął. Porządnemu - mawiał ojciec - nigdy by nic złego nie zrobił. A takiemu tak. Takiemu to by mógł prosto między oczy. Pach! I nicby mu za to nie było. Jeszcze by miał zasługę dla narodu. A teraz, jak tutaj wejść, rewizję zrobić, to jasne że <sup>2</sup>rewolwer znajdą. Matka nie znalazła, a oni znajdą. I wtedy pójdziemy pod ściankę. Wszyscy. Nawet ten braciszek czy siostrzyczka co mają się <sup>dopiero</sup>urodzić. Tak nas ojciec urządził.

I już nie wie matka co robić. Zostać, czy też może pójść na Jachcice do wuja Jerzego, <sup>przeczekać</sup>ciotki Klary? Tam by można ~~przeczekać~~ najgorsze. Ojciec wróci, zrobi porządek z rewolwerem. Do Brdy wrzuci, do ścieku czy gdzie. - I już, już zaczyna się ubierać i mnie popędzać: buty, płaszcz, sweter, prędko! - Nagle łapie się za brzuch, przykuca i pojękuje: - nie dojdę... zostajemy... musimy zostać...

Matka przysiada na krawędzi łóżka, zdejmuje spódnicę i podwią-

zki. - Idziemy spać - powiada - Niech się dzieje co chce. Na wszelki wypadek nie rozbieraj się do koszuli. Sprawdź czy drzwi od antrejki zakluczone.

Wszystko w porządku. Tylko po cichu zdejmuję łańcuch z zapięcia; to dla ojca gdy wróci w nocy. Wsuwam się pod pierzynę i przytulam do matki. Ciepło tu i bezpiecznie. Przypominają mi się kartoflane plincki o których zapomnieliśmy. Swojski zapach smażonego oleju błąka się po sypialni. Chce mi się ich, a zarazem na myśl o nich zbiera mi się na wymioty. Nic matce o tym nie mówię; niech odpoczywa. Za oknem szaro i smutno. Nie ma już jaskółek i nie ćwierkają wróble. Gdzieś w śródmieściu haftuje karabin maszynowy. Matka osłania mnie swym ramieniem. - Nie mam się bać, jest przecież po wojnie. To tylko niemieccy żołnierze ćwiczą wieczorne strzelanie. Przecież nie ma już kogo strzelać. Nasze wojsko odeszło za Wisłę, a tu sami cywile. - Niemców matka zna jeszcze z osiemnastego, dwudziestego - powiada - Tacy ludzie jak my wszyscy. Dobrzy i źli, ale raczej dobrzy. Takich ich pamięta z takimi miała do czynienia. Jeden z nich miał być nawet moim ojcem, ale poległ <sup>gdy</sup> jak nasi zrobili Powstanie Poznańskie. I już nie chciała nikogo innego, tylko tego co poległ, albo pana Boga. I gdyby nie nawinął się mój ojciec, to by matka dziś na

pewno była zakonnica. Niemcy - mówi matka - mają dużo dobrego w sobie. Są pracowici i schludni, a ci co posiadają pieniądze, bywają bardzo kulturalni i grzeczni. Nie szkodzi, że są innej wiary. Pan Bóg jest jeden wszędzie i dla wszystkich. Tylko każdy modli się trochę inaczej, co za różnica?

Słucham opowieści matki o Niemcach, a przed moimi oczyma wzdymają się białe poduchy. Nie ma w nich pierza, <sup>tylko</sup> pulsuje w ~~nich~~ gorące powietrze. Całe chmury poduch, tonę w nich, to dobywam na wierzchu łapiąc oddech. Wszystko dookoła mnie jest miękkie, białe, słoniowate i nadmuchane. Ta biała puchlina wsysa mnie, tkwię w niej po uszy. Z za tych wzdętych opon głos matki staje się ledwie słyszalny. To już nie matka mówi, to jej odbicie w lustrze sypialnianej szafy. Poduchy wydłużają się w kręte obłe zwoje. Te jelita z mlecznych błon zatykają mi usta i nos. Krzyczę. I widzę twarz nachylonej nade mną matki.

- O Jezu! - mówi - On ma gorączkę!